

## Czy będzie finlandyzacja Ukrainy?

Jeśli w ogóle – co nadal bardzo wątpliwe – miałyby dojść do porozumienia kończącego wojnę na Ukrainie, może to nie być wcale spodziewany rozejm typu koreańskiego, oparty o prostą zasadę „uti possidetis”, ale głębszy układ, precyzujący nie tylko reguły przyszłej ograniczonej suwerenności państwa ukraińskiego, ale nawet dający podstawy pod nowe amerykańsko-rosyjskie polityczne „detente” i ekonomiczne partnerstwo.

Tak w każdym razie wynika z ujawnionych dwudziestu ośmiu punktów preliminarium pokojowych, spisanych przez bliskich współpracowników prezydenta USA Steve’a Witkoffa i Jareda Kushnera, po konsultacjach z doradcami przywódców Ukrainy i Rosji – Rustemem Umerowem i Kiryłem Dmitrjewem. Zapewne treść owych preliminarium zmieni się jeszcze niejedyn raz w toku negocjacji (podobno już jest dziewiętnaście zamiast dwudziestu ośmiu punktów), ale wiadomo, że co do zasady – mają one akceptację Donalda Trumpa i stały się podstawą genewskich negocjacji prowadzonych przez Marca Rubia i Andrija Jermaka. Taki model porozumienia, jako alternatywę dla zwykłego zawieszenia broni, od dawna forsuje Moskwa, argumentując, iż problemem ma być nie sama wojna, ale jej głębsze przyczyny, zaś w Waszyngtonie doszli ostatnio do racjonalnego wniosku, iż zatrzymanie trwającej moskiewskiej inwazji bez jakiejś formy spełnienia tego oczekiwania nie będzie możliwe. Toteż w owych punktach-preliminariach pokojowych zawarte zostały dwie, skądinąd nienowe,

idee. Pierwsza – to swoista finlandyzacja Ukrainy, druga – to wymarzony swego czasu przez Obamę, choć nigdy realnie nie osiągnięty amerykańsko-rosyjski „Grand Bargain”.

**Przeczytaj również: Czy cud wydarzył się naprawdę? – felieton  
Jana Rokity**

Idea finlandyzacji, której geneza tkwi w układzie sowiecko-fińskim z 1940 roku, zakłada po pierwsze, że Ukraina własnowolnie opuści bronioną dotąd zaciekle resztówkę regionu donieckiego, uznając go w całości za terytorium Rosji, po to, by przerwać trwającą moskiewską ofensywę w tym regionie. W 1940 roku tak właśnie postąpiła Finlandia z resztówką Karelii, rezygnując z jej dalszej obrony i przesiedlając do wnętrza kraju przeszło czterysta tysięcy mieszkańców, którzy nie chcieli wpaść pod władzę sowieckiej tyranii. No i po drugie – co z perspektywy przyszłych losów Europy Wschodniej ważniejsze – finlandyzacja Ukrainy miałaby polegać również na tym, iż Kijów własnowolnie uznałby pewne ograniczenia własnej suwerenności: sześciusettyśniętysięczny limit stanu armii, zakaz posiadania broni atomowej i pocisków dalekiego zasięgu oraz definitywne wyrzeczenie się starań o członkostwo NATO. Jeśli na rzecz spojrzeć chłodno, to te ograniczenia suwerenności Ukrainy, choć dotkliwe ze względu na honor i prestiż państwa, w warstwie meritum nie są dziś w istocie żadnymi ograniczeniami. Amerykanie i Niemcy (nigdy nie dość im tego wypominać) nie chcą Kijowa w NATO i wspólnie zablokowali dostawy rakiet dalekiego zasięgu dla armii ukraińskiej, o co wielokrotnie lecz bezskutecznie zabiegał prezydent Zełeński. Zaś armia ukraińska, co oczywiste nawet dla laika, licząca dziś ponoć koło dziewięciuset tysięcy, w razie przerwania wojny i tak musiałaby zmniejszyć swój stan co najmniej o 1/3, zważywszy na wyczerpanie żołnierzy i trudności z poborem. Ograniczenia suwerenności, jakie Kijów miałby

zaakceptować, mają zatem, w świetle dzisiejszych realiów, znaczenie symboliczne, tym bardziej, że za ich cenę Kijów miałyby otrzymać jakieś papierowe – niewiele, ale jednak coś trochę zawsze warte – amerykańskie gwarancje bezpieczeństwa. Dobrze by było, gdyby można było owe ograniczenia złagodzić w toku dalszych rozmów, ale nawet wtedy realia sytuacji Ukrainy nie ulegną przez to zmianie.

Nieco poważniejszy jest chyba problem donieckiej strefy buforowej. Pomysł, iżby cały Donbas uznać za część Rosji, jednocześnie wprowadzając reżim demilitaryzacji obszaru, nad którym Moskwa dziś nie panuje, a który miałyby zostać jej przekazany przez Ukrainę, jest gorszą kopią doszczętnie skompromitowanego modelu demilitaryzacji Nadrenii, przewidzianej w 1919 roku traktatem wersalskim. Kopią o tyle gorszą, że w Nadrenii przez dobrych parę lat stacjonowały jednak okupacyjne wojska alianckie, więc dlatego trwało aż lat szesnaście, zanim, po czmychnięciu aliantów, Berlin mógł w końcu *par force* wysłać swoje wojska do strefy rzekomo zdemilitaryzowanej. W Donbasie, podobnie zresztą jak na całej Ukrainie, żadne obce wojska miałyby na przyszłość nie stacjonować, więc remilitaryzacja „buforowej” resztówki regionu donieckiego przez Moskwę nastąpiłaby oczywiście znacznie szybciej. Co więcej, oddanie tzw. „pasma twierdz” w obwodzie donieckim, opartego o przekształcone w nowoczesne twierdze trzy miasta: Słowiańsk, Kramatorsk i Konstantynówkę, byłoby na przyszłość istotnym ułatwieniem dla potencjalnego agresora, próbującego dostać się nad środkowy Dniepr, do serca państwowości ukraińskiej. Być może jest to cena, jaką pogrążonej w wielorakim kryzysie Ukrainie warto zapłacić za choćby kilkuletni oddech przed kolejną wojną, tyle tylko, że mało sensowne jest udawać, iż jakiś bufor terytorialny pomiędzy Rosją i Ukrainą może się utrzymać bez stale obecnych tam dużych sił zachodniego sojuszu. Tylko przy takiej

obecności rozwiązanie buforowe mogłoby nabierać jakiegoś, cząstkowego choćby sensu, ale na to przewidujący Kreml się oczywiście nie zgodzi.

**Przeczytaj również: Rosja i kolonializm – felieton Marka A. Cichockiego**

Kwestie granic i ograniczenia suwerenności Ukrainy są bez wątpienia ważne dla przyszłości tego kraju, jednak z polskiej perspektywy nieporównanie większą doniosłość ma projekt hipotetycznej szerszej umowy pomiędzy Waszyngtonem i Moskwą. W ujawnionych preliminariach pokojowych największe polityczne znaczenie mają dwa punkty: trzynasty – zakładający nie tylko zniesienie sankcji, ale również „integrację Rosji z gospodarką światową”, w tym ponowne poszerzenie tzw. grupy G7 o Putina, oraz czternasty – przewidujący powołanie „osobnego amerykańsko-rosyjskiego instrumentu inwestycyjnego, który będzie realizować wspólne projekty w niektórych branżach”. Owe „niektóre branże” zacieśnionej kooperacji USA i Rosji wymienione są w punkcie poprzednim; chodzi o sektory newralgiczne dla przyszłości całego Zachodu, czyli energię, metale ziem rzadkich, sztuczną inteligencję i centra danych. Zasoby owego „instrumentu” miałyby być ogromne, gdyż wniesiono by doń zamrożone dotąd na Zachodzie aktywa rosyjskie, po wyłączeniu z nich kwoty stu miliardów dolarów, zasilających fundusz odbudowy Ukrainy. A zważywszy, iż zamrożone rosyjskie kwoty sięgają dziś niemal trzystu miliardów, więc ów rosyjsko-amerykański „instrument inwestycyjny” dysponowałby około dwustu miliardami dolarów. O ile owe sto miliardów na odbudowę, wzięte głównie z rezerw rosyjskiego banku centralnego, to byłby dla Ukrainy los wygrany na loterii (zwłaszcza że drugie tyle miałyby dołożyć Europa, nie wiadomo tylko, czy do tego chętna), to dwieście miliardów na ową newralgiczną współpracę technologiczną

oznaczać by musiało, iż Moskwa stałaby się jednym z głównych sojuszników i partnerów USA w globalnym wyścigu technologicznym, od którego w znacznej mierze zależeć będą losy świata. Oczywiście, można łatwo pojąć, że dla rządu i koncernów amerykańskich uruchomienie tego rodzaju projektu, i to wyłącznie dzięki rosyjskim pieniądзом, wyglądać musi na genialny pomysł biznesowy. Istotniejsze jest jednak to, że za takim pomysłem musiałaby pójść technologiczna modernizacja gospodarki rosyjskiej i zwiększony wpływ Moskwy na globalną politykę, w tym także amerykańską. Dla Europy to pod każdym względem kiepski interes, a już dla Europy Środkowej i Wschodniej oczywista perspektywa rosnącej przewagi i zagrożenia ze strony Moskwy. Jeśli jednak Putin byłby istotnie gotów zgodzić się na takie przeznaczenie rosyjskich pieniędzy, nikt w Europie nie będzie mieć na to jakiegokolwiek wpływu.

„Grand Bargain” jest nie tylko ważniejszy, ale również groźniejszy od kwestii granic i ograniczenia suwerenności Ukrainy. Niejeden raz pisałem na tych łamach, że w szczególności Polska i tak już politycznie przegrała wojnę na wschodzie, *primo* – gdyż nie miała szans, aby doprowadzić do rozszerzenia na wschód od swoich granic zachodniej strefy bezpieczeństwa (czyli *de facto* członkostwa Ukrainy w NATO), zaś *secundo* – bo nie potrafiła nawet wykorzystać wojny dla przełamania przekleństwa historycznej wrogości Polaków i Ukraińców. Wygląda więc na to, że nic nam się w tej wojnie nie udało, choć z początku wyglądać mogło, iż uda się bardzo wiele. Wojna na wschodzie pozostanie w polskiej historii, jako wojna niewykorzystanych politycznych szans, po części niemożliwych do wykorzystania, po części zmarnowanych z własnej polskiej winy. Gdyby jednak ta wojna miała się rzeczywiście skończyć jakimś wielkim układem, czyniącym z Moskwy istotnego partnera USA w globalnej rywalizacji technologicznej z Chinami, to taki wynik, choć na krótką metę

oddaliłby w czasie niebezpieczeństwo rozlania się wojny na Europę, na dłuższą ośłabiłby zarówno polskie bezpieczeństwo, jak i polityczne znaczenie państwa polskiego. Trochę więc musi dziwić fakt, iż po ujawnieniu preliminarów pokojowych, burza przetoczyła się także przez Polskę, gdy idzie o plany zmian terytorialnych Ukrainy i ograniczenia jej suwerenności, przy czym podnoszone argumenty nosiły przeważnie charakter aż śmiesznie moralizatorski. Oczywistym nonsensem jest np. twierdzenie, iż nie można dopuścić do zmiany granic metodą siły, skoro w zasadzie innej metody zmian granic historia ludzka w ogóle nie zna. Podobnym politycznym nonsensem jest pogląd, wedle którego mocarstwa nie mogą nałożyć na jakiś kraj ograniczeń jego suwerenności; to przecież rzecz, która zdarza się niemal co dzień, a jako dobitny przykład starczy przywołać pozbawienie Polski suwerenności w dziedzinie ustroju judykatury. W amerykańskich dwudziestu ośmiu preliminaryjnych punktach są tymczasem zawarte inne groźne plany, których znaczenia – mam wrażenie – się u nas nie docenia. Być może zresztą dzieje się tak dlatego, że w „Grand Bargain” pomiędzy Waszyngtonem i Moskwą w praktyce mało kto wierzy, zwłaszcza po tragiczno-groteskowych efektach podobnego planu Obamy z 2009 roku, z którego ostała się w zbiorowej pamięci tylko błazeńska i godna pożałowania genewska scenka resetu laptopów Siergieja Ławrowa i Hillary Clinton.

*Jan Rokita*

*fot. Alex Kuhn / ArtService / Forum*

**Przeczytaj również: „Z podbieszczadzkiej wsi” – felietony Jana Rokity w Teologii Politycznej**